

Jak Grodkowianie piratów udawali



Rzecz o naszej wizycie w Bohuminie - Skrzeczoniu.

..... i to się działo naprawdę. Czas, udający niepokorne perpetuum mobile człowieczego losu, właśnie przewrócił dwudziestą piątą kartkę w kalendarzu, od niedawno goszczącego u nas miesiąca stycznia. I co? Dzień taki, jakich wiele ostatnimi czasy. Szary, bury, nieciekawym i do tego jeszcze skrywającym rzeczywistość w pałętającej się po okolicy gęstej mgle. Myślał pewnie, głupi, że nas odstraszy i do Skrzeczonia się nie wybierzemy. Ale gdzieżby tam! Zapachniało nam „wilkami morskimi”, obudził się morza zew i żadna burza, żadna siła, nie zatrzymała by nas w domach. Więc wsiedliśmy w nasze szalupy / w domyśle samochody - bo od czego bujna wyobraźnia / i hajda po piracką przygodę. Dwie godziny rejsowania po A4 i A1 i byliśmy na miejscu. A tam jak zwykle. Powitaniom i radościom witających i witanych, nie było końca. Nasze z sobą przebywania to nie tylko, sporadyczne wizytowanie. Łączy nas, członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Grodkowskiej, z przyjaciółmi z Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskiej Republice wiele wspólnych przedsięwzięć.

Wszystko zaczęło się w marcu 1973 roku. Wtedy obie strony porozumiały się ze sobą i nakreśliły ramowe plany i płaszczyzny współdziałania. Jedną z najważniejszych form aktywności obu organizacji stała się wymiana doświadczeń na polu szeroko pojętej kultury. Nasi Zaolziacy, mający genetycznie w sobie ducha Polskości powiadają o sobie: „ myśmy nigdy z Polski nie emigrowali, to ona nas ominęła”. I nie ma w tym cienia przesady. Za dowód niechaj służą fakty, z jak ogromnym pietyzmem pielęgnują polską tradycję, zwyczaje, język polski i śląski oraz kulturę swoich dziadów i ojców. A co najcenniejsze, to to, iż w dzieło kultywowania ducha polskości i patriotyzmu dzielnie włącza się pokolenie najmłodsze. Najdobitniej wyraża się to poprzez uczestniczenie we wszystkich możliwych formach aktywności artystycznej. Dlatego przez te lata odbyło się mnóstwo imprez, upamiętniających różne ważne wydarzenia. Nawzajem uczestniczyliśmy w jubileuszach i rocznicach działalności naszych chórów tj. ich : „Hasła” i naszego „Grodkovia”. Czescy goście są stałymi uczestnikami Dni Elsnerowskich i dni muzyki Wiessa. Zaś nasi artyści uświetniają uroczystości w Czechach poprzez występy zespołów młodzieżowych, chóru i kabaretu „ Nie do zdarcia”.

Stałą formą kontaktów jest uczestnictwo w wystawach np. „Od lat razem...”, czy też „Historia Bohumina i Gminy Grodków na fotografiach”. Nam zaś zastały niezatarte wspomnienia po wizycie w Jiřikowie na wystawie pod gołym niebem prac J. Halouzka, związanych z legendą Pradziada. Wielką

popularnością cieszą się wspólne wycieczki, które wspaniale służą integracji. Wspomnieć tu należy choćby niektóre wyjazdy: Ostrawa, Mikolov, Święto Gorolskie w Jabłonkowie, czy elektrownia szczytowo-pompowa w Dlouhe Strane. Ich zaś zaprosiliśmy między innymi do Złotego Stoku, Paczkowa, Otmuchowa, Moszny, Góry św. Anny, Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach, Muzeum Piosenki Polskiej w Opolu, czy też do Kopic i Sulisławia. Uzupełnieniem naszej współpracy są rozliczne imprezy sportowe choćby wspomnieć kolarskie wycieczki rowerowe i turnieje piłki nożnej i piłki ręcznej.

Oczywiście znawcy przedmiotu zdają sobie sprawę, że moja powyższa „wymienianka” jest mocno niekompletna i wrywkowa i nie daje rzeczywistego obrazu ponad 45 letnich dokonań, ale nie jest to w tej chwili dla mnie najważniejsze i nie to jest dzisiejszym moim zadaniem - bowiem pośród zadań poważnych i użytecznych i uzasadnionych społecznie, zawsze znajdujemy czas na rozrywkę i potrafimy doskonale bawić się ze sobą. Do wieloletniej już tradycji należy Bal Noworoczny. Każdy z nich ma swoje indywidualne hasło. Tym razem przenieśliśmy się za sprawą scenografii, dekoracji i pomysłowości w rejony Karaibów do krainy, w której prym wiodą krwawi piraci. Na scenie stała kopia najprawdziwszej pinasy, z armatami u boku burty, z odkrytą i nęcącą gawieź skrzynią pełną precjozów i klejnotów. Na środku groźnie sterczał maszt, którego zwieńczenie stanowił Jolly Roger (przewrotnie: „Wesoły Roger”), czyli autentyczna czarna flaga piracka z białą, budząca grozę trupią czaszką częściowo na bakier okrytą krwawą chustą piracką i pod nią skrzyżowanymi białymi piszczelami. Już widzę, jak na moich P.T. czytelników pada blady strach. Powiało grozą, co??? Ale my nie z tych, co to podszyli strachem, stulają uszy po sobie. No!..... Może wyjawię rąbka tajemnicy. Sam Herszt, naczelny pirat Czesław ksywa piracka „Chester”, był nam powolnym gdyż udobruchaliśmy go kuflem kofoli! I gdyby nie to, przed szefem skrzeczkońskich piratów pewnie i nam portki by się zatrzęsły, bo to choć nie wielkolud, ale umięśniony niczym Pudzianowski, jak na pirata przystało z zakrytym lewym okiem - odrażający typ. Jak głosi legenda piraci niekoniecznie byli bez oka. Przechodząc z jasnego do ciemnego pomieszczenia potrzebujemy kilkunastu sekund, żeby przyzwyczaić się do ciemności. Dla pirata te kilkanaście sekund mogło wystarczyć, by stracić życie. Dlatego jedno zakrywali opaską, by w razie potrzeby przyspieszając czas akomodacji wyprzedzić przeciwnika i wchodząc pod mroczny pokład móc zerwać opaskę, by oko dotąd odkryte bez zbędnej akomodacji dostrzegło natychmiast w mroku ewentualnego przeciwnika. Żeby kompletnie opisem „ubrać” naszego super korsarza, dodam: na głowie miał czapę zbójczą oczywiście z czaszką i piszczelami, a na jego prawym ramieniu siedziała milcząca jak w zakłęciu, kolorowa papuga. Staął na środku parkietu w rozkroku i tubalnym głosem zakrzyknął: POLONEZA CZAS ZACZAĆ! Z głośników popłynęły dźwięki muzyki, a on ująwszy rękę swego wice pirata Beaty (nota bene bukaniera w cywilu), ruszył posuwistym krokiem. I tak to się zaczęło. Pałeczkę następnie pochwyciła młodzież, która niejako potwierdzając moje konstatacje o sztafecie pokoleniowej, zatańczyła dwie krótkie suity: na czasie i poprawną, piękną wiązaną tańców żydowskich i żywiolową wiązaną tańców z rytmami Ameryki łaćńskiej. Podkreślenia godny kunszt, zaangażowanie i profesjonalizm czeskiej młodzieży.

A potem! Potem parkiet był już tylko do naszej dyspozycji. Każdy mógł się wytańczyć i wyhasać do woli. A komu było mało hulanki i wygibasów w sukurs przyszła piracka załoga, organizując wymyślne konkursy i dodatkowe atrakcje. W pewnym momencie pojawiły się dziwne kolejki panów. Za czym tak stoją i czego im brak? - zakolało mi w głowie pytanie! To już kiedyś przerabialiśmy, czyżby powrót??? Nic z tych rzeczy, to dżentelmeni stali karnie w sznureczku, by kupić goździki (to też takie dawne czasy) swoim wybrankom, i nie tylko. Ale dlaczego każdy chciał ich mieć jak najwięcej?! Nie bardzo wiedziałem. Za chwilę się okazało: jeden goździk, to jeden całus od obdarowanej damy. A co by się działo gdyby tak do jakiejś obcej damy trafiło 100 kwiatów? Przy niezręcznym zbiegu okoliczności i braku wyrozumiałości - rozwód gotowy!? Na całe szczęście zabrakło goździków i stan cywilny wszystkich balujących nie został naruszony.

Pomyślano też o przyjemnościach dla panów. Tym razem zadbały o to panie, przypinając do klap marynarek brzydszej części pirackiej gawiedzi, wymyślne kotyliony, co również skutkowało okazją do słodkiego całuska. Kiedy emocje kotylionowe opadły, znów puściliśmy się w tany. Styl, figury i kroki dowolne - jednym słowem: „freestyle dancing”!

Ale kulminacją była przeprowadzona przez Beatę - wice pirata w cywilu - zabawy w „Piracki Rejs”. W dwóch rzędach, naprzeciwko siebie, usiadły siedmioosobowe załogi. Pierwsi vis a vis usiedli kapitanowie, następnie bosmani, a w dalszej kolejności: nawigatorzy, mechanicy i marynarze wielbiciele zwierząt, którzy do kompletu wzięli ze sobą małpę i słonia. A więc każda z załóg miała 7 członków. Prowadząca czytała tekst, w którym pojawiały się funkcje załogantów. Kiedy w tekście pojawił się np. „kapitan” /akurat miałem zaszczyt być jednym z dwóch/, musiałem poderwać się z krzesła i jak najszybciej obiec pozostałą siedzącą załogę od zewnątrz i środkiem wrócić na swoje miejsce. To samo wykonywał mój konkurent z vis a vis w tym samym czasie. A kiedy wyczytała np. oficerowie, czynność obiegnięcia wykonywali równocześnie: bosman, nawigator i mechanik. Najciekawiej było, kiedy czytany tekst podyktowała do biegu np. zwierzęta, a one obiegnęły całą trasę i szczęśliwie usiadły na swoich miejscach, a prowadząca odpowiednią treścią znów wywołała zwierzęta, a one biedne się nie spodziewały, że to nastąpi. W takich razach następowała zabawna konsternacja i oczywiście salwa śmiechu, utrudniająca ponowny start. Nietrudno sobie wyobrazić sytuację, kiedy Beata poderwała całą załogę. Wszyscy sznureczkiem obiegnęli w koło i kiedy usiedli szczęśliwi i dumni z wykonania zadania, ona ponownie wywołała załogę. Dalibóg drżałem, by w zapale i ferworze nie zdeptać się wzajem. Ja starałem się jak mogłem, a kiedy nie mogłem, to przynajmniej się starałem. I bywały sytuacje, że „darłem” mało butów nie pogubiłem. W efekcie każdy z nas miał okazję popisać się sprintem. Różnie to wypadło, ponieważ załoganci to piraci w różnym wieku: „-dzieścia”, „-dzieści”, „-dziesiąt” i dobrze „-dziesiąt” ! Obyło się bez zawału (chodzi oczywiście o szczytowanie adrenaliny) i karetki. Było super. Kiedy nazajutrz wracaliśmy z pirackiego rejsu, brzuszyska jeszcze trzęsły się nam ze śmiechu!

Tekst i zdjęcia: Ryszard Wojnowicz.